

Tomczak, Jan

Ze wspomnień redaktora "Niwy"

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 1, 301-323

1962

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JAN TOMCZAK

ZE WSPOMNIENIŃ REDAKTORA „NIWY“*

„NIWA“ RUSZA W ŚWIAT

W końcu marca 1934 r. pierwszy numer „Niwy“ z datą 1 kwietnia 1934 r. opuścił drukarnię i poszedł w świat. Zgodnie z § 9 wspomnianej już pruskiej Ustawy Prasowej z 1874 r. I egzemplarz „natychmiast z chwilą rozpoczęcia ekspedycji, bezpłatnie“ został doręczony „władzy policyjnej, znajdującej się w miejscu wydawnictwa“. Numer ten przesłałem na ręce p. Dolińskiego, referenta bezpieczeństwa i porządku publicznego w starostwie leszczyńskim.

Pan Doliński nie dał długo czekać na okazanie mi osobistego, żywego zainteresowania moim skromnym pismem. Nazajutrz po wysłaniu numeru do starostwa, kiedy zajęty byłem szykowaniem dalszych paczek do wysyłki, pan Migdalewicz wezwał mnie do telefonu.

— Panie redaktorze, pan szef bezpieczeństwa pragnie panu złożyć gratulacje z powodu ukazania się pierwszego numeru „Niwy“. Niecierpliwie czeka przy telefonie.

Posłyszałem oschły, urzędowy ton pana „szefa“. Jego głos, znany mi z pierwszej wizyty, stracił w tubce swoją miękkość, brzmiał prawie surowo.

— Czy mogę pana prosić, aby pan był łaskaw złożyć mi niezwłocznie wizytę?

— Owszem, bardzo proszę.

— Wobec tego — czekam. Z drugiej strony szczęknęła złowrogo silnie rzucona na widełki słuchawka.

— No i co? — spytał pan Migdalewicz.

— Jestem „uprzejmie“ zaproszony do waszego „milego“ szefa.

* Fragment pamiętnika Jana Tomczaka (Andrzeja): *Na drodze życia. Wspomnienie byłego redaktora odpowiedzialnego i wydawcy legalnego czasopisma KPP dla wsi pt. „Niwa“*. Pamiętnik został napisany w 1958 r. Maszynopis pamiętnika znajduje się w posiadaniu autora.

— To idź pan, tylko się nie łamać. Uległością nic pan tam nie wywojuje. Lepiej niech się oni pana boją — poradził mi na drogę nieulekły szermierz polskiego radykalizmu.

Przyznam się szczerze, że miałem jednak pietra, chociaż nadrabiałem miną. Treść artykułów i słowo *Do czytelników* nie tylko dla zawodowego defenzywiaka, ale nawet dla zwykłego czytelnika gazet nie mogły być dwuznaczne. To było zupełnie nowe pismo, inne od wszelkich rządówek i daleko odbiegające od tak zwanych pism opozycyjnych, które swobodnie wychodziły i zalegały kioski gazetowe.

Pan Doliński, gdy wszedłem do jego gabinetu, nie uśmiechnął się uprzejmie i nie wyciągnął do mnie ręki na powitanie. Ledwie odburknął mi dzień dobry i gestem ręki zaprosił siadać.

Lęk odszedł mnie zupełnie. Mam już to w charakterze, że odczuwam lęk przed i po momencie niebezpieczeństwa, natomiast potrafię się opamiętać w samej akcji i być zupełnie spokojnym.

Na zapraszający gest ręki gospodarza z naturalną swobodą rozsiadłem się w krześle przy biurku i spokojnie spojrzałem w jego oczy. Pan Doliński chwilę patrzył na mnie surowo i nerwowo pukał ołówkiem w leżącą przed nim „Niwę“. Moje spojrzenie wyrażało lekkie zdziwienie, jakby pytało urzędnika o powody jego prawie niegrzecznego zachowania.

Pan Doliński zmuszony był przerwać ten bezkrwawy pojedynek wzrokowy. Rzucił ołówek i wycedził przez zęby:

— To pan tu po to przyjechałeś, aby złuzować tego łajdaka Migdalewicza w jego niecnej robocie!

— Pan się niepotrzebnie denerwuje. Nie znam roboty pana Migdalewicza i nie moją rzeczą jest ocena jego pracy. Chcę jednak stanowczo stwierdzić, że poza dzierżawą drukarni nic mnie z panem Migdalewiczem nie łączy. Również stanowczo stwierdzam, że pan Migdalewicz aż do ukazania się numeru „Niwy“ nie był przeze mnie informowany o treści mających się ukazać artykułów, jak również nie interesował go ani kierunek ideologiczny pisma, ani też moje osobiste zapatrywania. Teraz kiedy pismo ujrzało światło dzienne, nawet zupełny laik łatwo może stwierdzić, że „Niwa“ pod żadnym względem nie jest kontynuacją „Kuriera Powszechnego“.

— Tak, ma pan rację, formalnie rzecz biorąc „Niwa“ nie jest kontynuacją „Kuriera“, ale tylko u Migdalewicza mógł pan znaleźć miejsce na drukowanie takiej szmaty. Panie, nie próbuj pan udawać niewiniątka. Czym pachnie pańskie piśmidło — to poczuje każdy nie wyteżając nosa. Nie myśl pan jednak, że ja tu będę pana tolerował — pan Doliński uderzył dłonią w biurko i natężył głos.

— Pan wybaczy — powiedziałem, udając głęboko urażonego i podniosłem się spokojnie z krzesła. — Nie spodziewałem się w swojej trud-

nej pracy znaleźć u pana pomocy i poparcia, ale też nie mam chęci wysłuchiwać pańskich impertynencji. Do widzenia panu!

Pan Doliński zaniemówił. Nim zdążył zareagować na moje wystąpienie, jak już zamykałem głośno drzwi z drugiej strony.

— To bezczelność — doleciał mnie zduszony głos skonfundowanego referenta bezpieczeństwa.

Powrotny spacer przez czyste, skąpane w wiosennym słońcu, pachnące świeżą zielenią uliczki Leszna pozwolił mi opanować się zupełnie i z figlarnym uśmiechem wszedłem do drukarni, gdzie czekał na mnie pan Migdalewicz wzmacniając tyle tylko, ile to było możliwe, tempo spalania papierosów, a z nim moi przyjaciele zecerzy.

Z humorem opowiedziałem im przebieg wizyty w starostwie i stwierdziłem, że rozstaliśmy się z panem Dolińskim prawie pogniewani.

Pan Migdalewicz zatarł ręce, zakreślił błyskawicznie nowego papierosa.

— Z nimi trzeba z góry, tylko z góry. Podoba mi się pan, panie redaktorze. No cóż, trzeba pakować „Niwę“ — i pan Migdalewicz ochoczo zabrał się do pomagania nam w pakowaniu przesyłek pisma.

Teraz, po 25 latach, kiedy patrzę na 1 numer „Niwy“ i kiedy znam perypetie pana Migdalewicza, nie dziwię się, że skromna „Niwa“ musiała wstrząsnąć starościańskim referentem bezpieczeństwa i porządku publicznego. W katolicko-endeckim Lesznie, mocno przetykanym niemieckimi, aktywnymi, gorącymi wyznawcami Hitlera, gdzie sanacja nie mogła mimo poparcia policji i wszelkich władz zapuścić głębiej korzeni, szalejący antyklerykał Migdalewicz, na pozór niebezpieczny dla panującego ustroju, był do zniesienia, a czasami był nawet pożądanym atutem w ręku rządzącej powiatowej kliki w rozgrywkach z opozycyjnie nastrojonym klerem. Chcecie przydusić Migdalewicza, owszem, pomożemy wam, ale za to wy nam musicie nieco ustąpić przy wyborach. Pomawianie Migdalewicza przez kler o komunizm było dziecinny straszakiem, który mógł działać tylko na naiwnych. Tymczasem w „Niwie“ czuły nos referenta bezpieczeństwa zwietrzył nieomylnie groźnego wroga dla samych podstaw ustrojowych. Ukazanie się takiego „piśmidła“ i jego trwanie groziło niebezpieczeństwem nie tylko dla ustroju, ale, co gorsza, bezpośrednio dla posadki pana Dolińskiego, i rozumiałem doskonale, że ten układowy człowieczek dołoży starań, aby pozbyć się mnie możliwie jak najprędzej. Pan Doliński w dewocyjno-endeckim Lesznie nie miał jednak uprzednio okazji popróbować się z komunistami i dlatego nie potrafił zastosować odpowiednich chwytów, które by niebezpieczeństwo bolszewickiej zarazy zdusiły w zarodku. Nie mógł też szybko otrzymać w tej sprawie instrukcji od władz wojewódzkich z Poznania, gdyż pismo omijało teren Leszna i Poznania. Kolportowane było

w całej Polsce, tylko nie w tych dwóch miastach. Być może, że od energiczniejszego, natychmiastowego wystąpienia powstrzymywała pana Dolińskiego piękna opinia, jaką wystawiła mi policja w Żychlinie. Tak czy siak, p. Doliński uderzył mnie dopiero przy trzecim, pierwszomajowym numerze „Niwy“, konfiskując cały nakład. Ale do tej sprawy jeszcze wróce, teraz przypatrzmy się pierwszemu numerowi „Niwy“.

Wygląd zewnętrzny pisma i jego rozmiar były bardzo skromne. Pismo liczyło ledwie 8 stron o wymiarach 23,6×31,3 cm. Układ 2-szpaltowy, monotony, szpalta szerokości 11,8 cm, układ czcionek długości 9 cm. Tytuły niezbyt duże. Sam tytuł pisma: „Niwa“ dwutygodnik literacko-społeczno-gospodarczy — szedł przez całą stronę, zajmując 8,5 cm wysokości strony. Poza tytułem podany był rok wydawnictwa, data pisma i jego numer. Wreszcie *credo* pisma zawarte w odezwie *Do czytelników*, które biegło przez całą stronę, i pierwszy tytuł redakcyjny, reportaż Mariana Smugi: *Na kulturach*.

Apel do czytelników brzmiał następująco:

„Na urodzajnej niwie chłopskiej plenią się różnorodne chwasty, rozsiewane hojnie przez jawnych i ukrytych wrogów pracującej wsi.

Im bardziej pogarsza się położenie pracujących chłopów, tym większe garście chwastów rzucają się na wiejską niwę, by zdusić kiełkującą coraz śmieiej świadomość, że tylko własnymi rękoma wszystkich pracujących budować można drogę do lepszego jutra.

Przystępując do wydawania naszego pisma, postawiliśmy sobie za zadanie wyplenić w miarę sił i możliwości niwę wiejską z ostów i kąkoli, by tym bujniej rosnąć mogła przebijająca przez chwasty myśl, że lepszą przyszłość budować trzeba samym. Zwracamy się przeto z apelem do wszystkich pracujących chłopów o nadsyłanie nam korespondencji o życiu pracującej wsi, o jej troskach, bolączkach i potrzebach.

Wspólnym wysiłkiem omawiać będziemy zarówno istniejące zło, jak i sposoby, które to zło mogą usunąć.

Prosimy wszystkich pracujących chłopów o rozszerzenie naszego pisma, by zasiać niwę chłopską zdrowym ziarnem jak najszerszej, by nie pozostawić ani kawałka ugoru.

Oddajemy do waszych rąk nasze pismo w tym przekonaniu, że nie odmówicie nam ani materialnego poparcia, ani współpracy w imię naszego wspólnego dobra“.

Redakcja

Reportaż Smugi *Na kulturach* mówił o tragicznej doli wyzyskiwanych bezlitośnie pracowników leśnych w dobrach ordynacji hrabiego B.

Reportaż był obszerny i dopiero na 3 stronie znajdujemy dalsze dwa artykuły: *Rozsiewanie złudzeń o pomocy dla wsi a rzeczywistość* oraz *Przyboczny sejm p. Kwapińskiego*. W pierwszym artykule demaskuje się dekrety rządu o pomocy dla wsi, które są pomocą dla obszarników, w drugim była mowa o tzw. „sejmach fornali“, które zwoływał samozwańczy „król fornali“ Kwapiński. W artykule tym demaskuje się antyrobotnicze, antyfornalskie stanowisko rzekomego „króla fornali“ i jego odpowiednio dobieranych delegatów na „sejm fornalski“.

Na str. 5 zaczynają się 2 artykuły, jeden pt. *Oddłużanie rolnictwa* i drugi: *Na spółdzielczej wierzbie*.

Następny artykuł na str. 6 pt. *Nożyce dalej się rozwierają* (w podtytule — *Spadek trzody chlewnej*) rejestruje dalszy, katastrofalny spadek żywca. Na str. 7 omawia się dane statystyczne, dotyczące spadku pogłowia zwierząt gospodarskich, i wreszcie w artykule pt. *Co piszą inni* — autor rozprawia się z artykułem Malinowskiego, ogłoszonym w „Wyzwoleniu“ z dnia 10 grudnia 1933 r. pt. *Nie tędy droga*.

Artykuł Malinowskiego określa jako „drogowskaz polityki ugodowej wobec panowania klas posiadających“, a samego Malinowskiego odsądza od czci i wiary. Artykuł ten kończy się zdaniem, które warto tu odnotować *in extenso*, gdyż dobrze ono charakteryzuje język, jakim „Niwa“ rozprawiała się z przeciwnikami politycznymi, którzy bądź co bądź stanowili wtedy oficjalną opozycję:

„Przysięgał i obiecywał*, ale ponieważ przysięgi okazały się obłudnym naciąganiem chłopów na »ofiara i krew«, więc wniosek jasny: »dobre słowo« Malinowskiego i zdradzieckich wodzów Stronnictwa Ludowego i PPS tyle wartają, co czyny krytykowanej przez nich sanacji“.

Cenną pozycją na str. 8 jest korespondencja chłopca ośmiomorgowego z powiatu konińskiego, który podaje kalkulację hodowli 2 świń, które wreszcie po 230 dniach hodowania sprzedaje ze stratą 17 zł 50 gr. Sądzi, że te świny robotnicy w mieście zjedzą za pół darmo, żywiąc się w ten sposób chłopską krwawicą, tymczasem jego brat, robotnik z Łodzi, robi kalkulację tych świń po cenach, jakie on w mieście musi płacić, gdy chce kupić kawałek mięsa, i wychodzi, że to, co chłop sprzedał handlarzom za 141 zł 40 gr, jego brat w mieście kupuje z kolei u tych handlarzy za 273,60 zł. Chłop dochodzi do wniosku, że i on, i jego brat robotnik w mieście są obdzierani ze skóry przez jednego i tego samego wroga — kapitalistę.

Numer zamyka się notatką o leśniczym, który postrzelił chłopca przy

* Mowa o przysięgach i obietnicach posła Malinowskiego przed wojną polsko-radziecką w 1920 r.

zbieraniu chrustu w lasach prywatnych barona Becka w powiecie tczewskim, oraz wiadomością, że kresy wschodnie nie mają ziarna na zasiew.

Język „Niwy“ prosty, bez obcych słów, bez zakrętasów stylistycznych, trafiać musiał do czytelnika wiejskiego. Mógł też zainteresować życzliwego czytelnika miejskiego, a ponieważ sympatycy KPP prędko rozszyfrowali, które legalne pismo jest wydawane i robione przez partię, przeto „Niwa“ znajdowała chętnych nabywców i wkrótce nakład, który zaczęliśmy od 3 tysięcy egzemplarzy, doszedł do 10 tysięcy. Gdyby były większe możliwości finansowe i techniczne, „Niwa“ mogłaby osiągnąć jeszcze większe nakłady. Pismo nie było obliczone na zysk i cena pojedynczego numeru początkowo wynosiła 20 groszy, a potem przy zwiększonym formacie została obniżona do 15 groszy, rzekomo dlatego, że interes świetnie się rozwijał i nie musiałem się szybko bogacić.

Pierwszy numer wyszedł bez ceny, jako „okazowy — bezpłatny“. Na ostatniej stronie podane było, że prenumerata kwartalna wynosi 1 zł 20 gr.

Pierwszy numer „Niwy“ bez przeszkód ruszył w świat. Kiedy ostatnie paczki odnieśliśmy na pocztę, zaprosiłem moich współpracowników ze cerów na skromne obłanie pomyslnego początku i wzniesienie toastu za pomyslny rozwój „Niwy“.

PIERWSZA KONFISKATA I DALSZE KŁOPOTY „NIWY“

Drugi numer „Niwy“ ukazał się punktualnie 15 kwietnia 1934 r. i bez przeszkód został wyekspediowany do czytelników. Tym razem nakład zwiększyliśmy do 4 tysięcy egzemplarzy.

Numer zawierał prace mówiące o bieżących kłopotach polskiej wsi, o szerzącej się nędzy, o głodzie. Stronice 1 i 2 zawierały artykuł: *Łapaj złodzieja!* — mówiący o próbie zlikwidowania domokrażnego handlu mlekiem przez kapitalistyczne spółki i kapitalistyczno-kułackie spółdzielnie mleczarskie; dalej szedł spory artykuł pt. *Miliony przymierają z głodu* i krótka notatka z Sosnowca: *Jedzą psy z głodu* (w podtytule: *Nędza w Zagłębiu Dąbrowskim*).

Dzisiaj ludzie w Polsce Ludowej zapomnieli, co to naprawdę znaczy słowo *głód*. Warto więc będzie przytoczyć chociażby jedno zdanie, mówiące, czym się wówczas karmiły tysiące zbiedniałych rodzin chłopskich.

„Jak stwierdzają urzędowe komunikaty, w pięciu powiatach województwa wileńskiego głoduje 20 tysięcy włościan... którzy jedzą od szeregu miesięcy zupkę gotowaną z kory drzewnej, a chleb z wrzosu“.

„Statystyka urzędowa nie odzwierciedla istotnego stanu rzeczy“ — stwierdza „Niwa“ i podaje dalsze przykłady głodujących wsi z całej Polski. Jednocześnie omawia polityczne przyczyny tej strasznej sytuacji gospodarczej kraju.

Te artykuły nie były zaczepione przez cenzurę, mówiły prawdę, straszną prawdę, której nie można było ukryć i o której przebąkiwały nawet „urzędówki“ i urzędowe statystyki. *Miliony przymierają z głodu* kończyły się następująco:

„Alarmujące wieści o głodzie nagłą do przeciwdziałania nie tylko głodowi, ale przeciwdziałania również przyczynom, które powodują głód milionów“.

Następnie numer zawierał wiadomości o Austrii, gdzie proletariat prowadził beznadziejną, krwawą walkę w obronie swojej zbrojnej organizacji, tzw. „Schutzbundu“. Z Czechosłowacji — donosi „Niwa“ o dewaluacji korony czeskiej o 16% i analizuje trudną sytuację klasy robotniczej i pracujących chłopów, wyzyskiwanych przez kapitalistów „z zielonego raju“ — jak Czechosłowację nazywali wodzowie Stronnictwa Ludowego. Z Francji — „Niwa“ podaje wiadomości o kryzysie politycznym, jaki się tam zarysował z powodu afery Stawiskiego, z czego chcieli skorzystać francuscy faszyci i wyciągnęli łapy po władzę. W obronie republiki i demokracji wystąpiła w jednolitofrontowych demonstracjach francuska klasa robotnicza, proklamując strajk generalny. Faszyci dostali po łapach, musieli się cofnąć.

Ponieważ „Niwa“ była też pismem literackim, w tym numerze znalazła się przyjemna, świetna politycznie nowela Z. Bandosa pt. *Cudowne uzdrowienie* (w podtytule: *Z opowiadań b. jeńca wojennego*), gdzie jest mowa o przebiegu rewolucji na wsi rosyjskiej.

Jak zwykle w stałej rubryce: *Co piszą inni* — brutalnie rozszyfrowywane są zakłamanie, ugodowe artykuły ludowcowej prasy. Tym razem na tapecie znalazł się „Piast“, organ Stronnictwa Ludowego. Tu pierwszy raz w „Niwie“ padło słowo „kułak“ na określenie bogatego chłopca wyzyskującego wiejską biedotę.

Wreszcie krótka informacja o święcie robotniczo-chłopskim 1 maja. Notatka kończyła się następującym wezwaniem:

„W dniu 1 maja pod szczerze czerwonym, a nie zdradzieckim pepeciackim sztandarem kroczy coraz więcej pracujących chłopów, by dać wyraz dążeniom do zdobycia ziemi bez wykupu i rządu robotniczo-chłopskiego“.

Na koniec, po kilku drobniejszych notatkach, u samego dołu ostatniej strony czytelnicy i wszyscy, kogo to interesowało, dowiadują się z następujących słów o dalszym organizacyjnym rozwoju „Niw“: „Redakcja i Administracja: Leszno (Wlkp.), Nowy Rynek 15 m. 3“. A więc

„Niwa“ ma nie tylko własną drukarnię, ale i własny lokal redakcyjno-administracyjny.

Gdyby dzisiaj jakikolwiek pracownik jakiegokolwiek partyjnej gazety czy czasopisma wziął do ręki którykolwiek egzemplarz „Niwy“, to patrząc na jej skromny wygląd, prymitywne łamanie szpałt, liczne błędy i braki techniczne, pomyślałby niewątpliwie:

— „Ależ to niechlujna robota! Gdybym ja, mając nocny dyżur w drukarni, puścił z maszyny taki egzemplarz, już następnego dnia nie miałbym po co pokazywać się w zespole redakcyjnym. Wyrzuciliby mnie na zbity pysk i mieliby rację“.

Trzeba zatem powiedzieć parę słów o składzie redakcji i administracji, a może towarzysze z prasy, którym czasami złośliwy chochlik drukarski i dziś płata szpetne figle, zmieniają zdanie i mniej surowo spojrzą na skromniutkie, poźółkłe egzemplarze „Niwy“, których kilka zaledwie znajduje się w Archiwum Historii Partii KC PZPR. Egzemplarze te z pietyzmem przechowali towarzysze, niegdyś czytelnicy „Niwy“, jako dokument walki KPP o sprawę chłopską.

Wracajmy jednak do rzeczy.

Prawdziwego składu redakcyjnego nie znałem i nie dociekam dzisiaj, kim byli faktycznie redaktorzy „Niwy“. Ja otrzymywałem rękopisy, przeważnie pisane ręcznie drukowanymi literami na bibułkach. Te artykuły przepisywałem na maszynie pana Migdalewicza, starając się, aby nikt tej roboty nie widział. Potem już przepisany materiał jako swój „własny“ niosłem do drukarni i oddawałem w ręce dwóch zecerów, którzy przystępowali do ręcznego składania. Tak więc sztab maszynistek zaczynał się i kończył na mojej osobie, nie mającej bynajmniej żadnych kwalifikacji do pełnienia tej roli.

Moi oddani towarzysze pracy, zecerzy Piotr i Franciszek, złożyli szpałty, odbijali „szczotkę“ i zaczynała się korekta. Stary, doświadczony korektor siadał do pracy. Popędzałem go; popędzali zecerzy, bo marudził, a tu czas nie czekał. Cóż, kiedy Jasio nie był ani starym, ani doświadczonym, ani w ogóle korektorem. Zecerzy próbowali nauczyć go stawiania umówionych, przyjętych we wszystkich drukarniach świata korektorskich znaków. Na ambit wzięli chłopaki i chcieli ze mnie zrobić przyzwoitego korektora. Niestety, czasu nie stało. Stawiałem więc własne znaki, przyzwyczaili się do nich, a że korekta była pod psem, chłopci-czytelnicy nie mieli o to pretensji, denerwowało ich, gdy „Niwa“ przychodziła z opóźnieniem.

Z kolei zaczęto układać tytuły, a kiedy już cały materiał był gotowy, na widownię występował metrańpażysta — Niestety, znowuż ja — poparty doświadczeniem Piotra. Wynik tej współpracy był mizerny wyłącznie z mojej winy. Niemniej uważny obserwator techniczny po-

stępów „Niwy“ już po kilku numerach zauważy, o ile będzie życzliwie usposobiony, znaczne osiągnięcia, a nawet wyraźne dążenie, aby „Niwa“ nie straszyla wybrednych odbiorców swoim zewnętrznym wyglądem. Przystępowano do druku. Zecerzy zwiłali się jak w ukropie, trzeba było im dać nakładaczka. Chcąc nie chcąc stawałem do maszyny. Robota postępowała rażno, stopy gazet zalegały drukarnię, trzeba je było pakować. Wtedy zecerzy i „redaktor“ szli na dobrze zasłużony odpoczynek, a na ich miejsce przychodziła ekipa pakowaczy: Piotr, Franek i Jan. Czasami przychodził z nimi z dobrej i nieprzymuszonej woli niejaki pan Migdalewicz, a bywało, że towarzyszyła mu pani Maria — jego żona. Z pieśnią masową na ustach ruszaliśmy do roboty, fantazyjnie zawiązując rękawy.

Stopy paczek gotowych należało odtransportować na pocztę. Redaktorzy, pracownicy administracji, zecerzy, pakowacze, maszynistki — wszyscy razem szukali redakcyjnych samochodów. Jak na złość nie było pod ręką ani jednego. Dawajcie zwykły ręczny wózek! Ba, i wózka nigdzie nie było. Wtedy to pani Maria Migdalewiczowa zaofiarowała się użyczyć kosza bieliźnianego. Niech będzie kosz. Zawołać tragarzy — dawał rozkaz „redaktor“. Natychmiast, jak spod ziemi, zgłaszali się niezawodni, wysłużeni tragarze: Piotr, Franciszek, Jan. Zręcznie pakowali „Niwę“ do olbrzymiego kosza i odnosili na pocztę. Robili to zupełnie dobrze i na naradzie produkcyjnej zespołu „Niwy“ jednogłośnie postanowiono zwolnić niepotrzebnych szoferów, a samochody sprzedać na licytacji.

Z kolei włączał się do pracy dział finansowy, z głównym księgowym na czele, obok niego rachmistrze, kontyści, uroczą kasjerka, intendent itd.

Porzucając fantazję, krótko trzeba stwierdzić, że cały tzw. aparat „Niwy“ w Lesznie składał się z 3 ludzi: „redaktor“ i dwóch najprawdziwszych w świecie zecerów. Zaś lokal „redakcji i administracji“ to był pokój przy rodzinie z dwoma łózkami, stołem, szafą i umywalką, gdzie mieszkał autor niniejszych wspomnień. Właścicielem mieszkania był poczciwy Niemiec, krawiec, w imieniu którego działała jego straszliwa (!) żona — Niemka, znająca zaledwie kilka polskich słów. *Nomen omen* — zahukany krawiec nazywał się Schneider.

Chociaż „Niwa“ roi się od błędów i braków, wierzcie — była wysoko cenioną przez swoich czytelników, którzy nadsyłała dziesiątki listów gryzmołonych spracowaną ręką i zachęcali redaktora do wytrwania i dalszego drukowania. Duże „uznanie“ miała „Niwa“ również u władz policyjnych, zainteresowała się nią defensywa; wiele uwagi, czasu i papieru poświęcały „Niwie“ sądy. A więc nie było to chyba byle jakie pismo. Prawda?

Materiały do trzeciego numeru, który miał się ukazać przed pierwszym maja, przywiózł mi przyjaciel Janek Banachowicz. Była to jedyna wizyta towarzyszy z Warszawy w czasie niemal rocznego mojego pobytu w Lesznie. Z dumą podejmowałem drogiego i miłego gościa w moim pokoju, który był czystutki, słoneczny, z widokiem na rynek. Janek przyjechał, aby oszczędzić mi straty czasu na wyjazd do Warszawy, gdyż zależało nam, aby „Niwa“ doszła do rąk czytelników w przeddzień 1 maja. Po załatwieniu spraw służbowych do późnej nocy gawędziliśmy. Z rozczuleniem wychwalaliśmy niemiecką czystość, bo rzeczywiście, pokój mój skromnie umeblowany każdemu mógł zaimponować porządkiem i ładem, co było wyłączną zasługą mojej gospodyni.

Wreszcie położyliśmy się spać. Ja usnąłem natychmiast i jak zwykle spałem znakomicie. Naraz wydało mi się, że ktoś mnie woła.

— Janek, Janek, obudź się — doszedł mnie przytłumiony i wyraźnie przerażony głos.

Na pół przytomny usiadłem na łóżku, nie od razu orientując się, gdzie jestem.

— Co się stało? — spytałem szeptem.

— Prędko, zapal światło!

Zapaliłem i wtedy oczom moim ukazał się widok, którego nie zapomnę do końca życia. Mój bohaterski Jasio, który nieulekle stawiał czoło całej polskiej defensywie, siedział wystraszony na wysokim, rzeźbionym tyłku rodzinnego łóża i cudacznie balansował zawieszonymi w powietrzu nogami.

— Co się stało? Co ty wyrabiasz, wariacie?

— Niech diabli wezmą twoją niemiecką czystość, podnieś koldrę, to zobaczysz.

Kiedy podniosłem koldrę, nie chciałem wierzyć oczom. Na prześcieradle Janka przelewał się stłoczony tabun wyraźnie rozwścieczonych pluskiew. Byłem naprawdę zdumiony, bo mnie pluskwy nigdy nie gryzły. Dlaczego tak jest, nie wiem, ale pluskwy starannie mnie omijają.

Janek za nic nie chciał się już położyć, chociaż odstępowałem mu swoje łóżko, w którym nie było śladu żadnych żywych istot. Ubrał się i do rana drzemał na krześle. Ja spałem znakomicie w swoim czystym, kawalerskim łóżu.

Nazajutrz Janek wyjechał, a ja z zapalem zabrałem się do przepisywania przywiezionych przez niego materiałów. Naturalnie był artykuł poświęcony świętu 1 maja, był też artykuł o konstytucji 3 maja. Oprócz tego były artykuły dotyczące bieżącej sytuacji wsi, a jednocześnie kilka większych wiadomości o ZSRR, a więc o umasowieniu rolnictwa sowieckiego, o planie drugiej pięcioletki, o ostatnich chwilach lotników sowieckich, którzy balonem „Ossoawiachim 1“ zaatakowali

stratosferę, osiągając wysokość 22 000 m. Naturalnie nie brakło też rubryki: *Co piszą inni*, gdzie konsekwentnie i z uporem rozprawiano się z pismami ludowcowymi i pepesiackimi.

Zaagitowałem zecerów, aby zwiększyli tempo pracy, byśmy mogli 5 tysięcy pierwszomajowej „Niwy“ wysłać wcześniej w teren. Robota szła nam składowo i na pięć dni przed pierwszym maja numer był gotowy. Natychmiast odnieśliśmy go na pocztę i jak zwykle okazowy egzemplarz posłałem panu Dolińskiemu. Wieczorem tego dnia, kiedyśmy szykowali ostatnie paczki „Niwy“, do drukarni wkroczyła policja i zajęła cały nakład, wręczając mi pismo starosty orzekające konfiskatę w powołaniu się na art. 170 Kodeksu Karnego z dn. 11 lipca 1932 r., łącznie z § 29 wspomnianej już ustawy niemieckiej, która postanawiała, że „odpowiedzialność za czyny, których karygodność jest uzasadniona na podstawie treści druku, normują istniejące ogólne prawa karne“. Zmartwiony byłem ogromnie, bo „Niwa“, niestety, nie zdąży dojść już do czytelników na 1 maja. Na poczcie pismo również zostało zabrane przez policję. Natychmiast po wyjściu policji i po usunięciu skonfiskowanych 2 zdań z artykułu o 1 maja przystąpiliśmy do drukowania nowej porcji z nadrukiem, który brzmiał smutno, ale dumnie: *Po konfiskacie nakład drugi*.

Nazajutrz pan Doliński wezwał do siebie właściciela drukarni pana Migdalewicza. Pan Stanisław wrócił po dobrej godzinie. Tym razem ja oczekiwałem niecierpliwie. Okazało się, że Doliński zażądał od pana Migdalewicza, aby ten zerwał ze mną umowę o dzierżawę i wypędził mnie z drukarni. Pan Migdalewicz odrzucił z pogardą propozycję starościńskiego szefa bezpieczeństwa publicznego, chociaż łatwo mógł się mnie pozbyć, bośmy żadnej pisemnej umowy nie mieli.

Drugi nakład „Niwy“ poszedł w świat i zdawało się, że sprawa jest wyczerpana. Tymczasem dnia 4 maja pan Migdalewicz został wezwany do starostwa i więcej do domu nie wrócił. Pan starosta miał już przygotowany nakaz sądu zamknięcia pana Migdalewicza w szpitalu psychiatrycznym w Kościanie i już 4 maja pan Migdalewicz znalazł się w otoczeniu wariatów. Ten brutalny przejaw sanacyjnej władzy wywarł na mnie przygnębiające wrażenie. W kilka dni później udało mi się widzieć pana Migdalewicza. Rozmawialiśmy przez kratki. Pan Migdalewicz pienił się z oburzenia.

— Tylko pan się nie uginaj, krzyczał do mnie. Ja sobie poradzę z tymi łajdakami i choćbym miał tu zgnić, nie zmuszą mnie, abym odebrał panu drukarnię. Żonie już napisałem, aby nie ważyła się w moim imieniu iść na jakiegokolwiek ustępstwa.

Wróciłem do Leszna mocno zbudowany bohaterską postawą pana Migdalewicza.

Pani Migdalewiczowa z godnością znosiła bolesną rozłąkę z mężem i ani słówkiem nie dała znać, abym ustąpił z drukarni. Ukazał się czwarty numer „Niwy“ zwiększony o 4 stronicie, poprzednie 3 numery miały po 8 stronic, a ten 12 — data numeru 15 maja 1934 r. W rzeczywistości numer 4 wyszedł z opóźnieniem kilkudniowym, gdyż miałem trudności z nabyciem papieru gazetowego w Lesznie i musiałem sprowadzić go z Poznania (dalsza „pomocna“ działalność p. Dolińskiego).

Numer 4 był bogatszy nie tylko w ilość stron, ale również pod względem treści. Zawierał opisy obchodów pierwszomajowych z całego świata, najobszerniejszy zaś z ZSRR. W odcinku literackim daliśmy w tym numerze wyjątek z powieści *Zaorany ugór* Michała Szołochowa, poprzedzony następującą notatką redakcyjną:

„Cały świat rozbrzmiewa wieściami o doniosłych zmianach, jakie się dokonują w gospodarczym i kulturalnym życiu Sowieckiego Związku.

Najwięcej uwagi poświęca się olbrzymiej przebudowie rolnej, zwanej kolektywizacją. Ma ona w całym świecie gorących zwolenników i zaciętych wrogów. Chcemy, aby nasze pismo umożliwiło wsi poznanie prawdy o kolektywizacji. Zamieszczamy wyjątki z powieści znakomitego pisarza sowieckiego — Szołochowa, syna chłopca-Kozaka dońskiego, który w książce *Zaorany ugór* opisuje życie dzisiejszej wsi sowieckiej.

Chcemy, aby około poruszanych wyżej spraw rozwinęła się dyskusja chłopów polskich. Prosimy o nadsyłanie ze wsi najliczniejszych głosów o kolektywizacji sowieckiej. W tym miejscu dla ułatwienia czytelnikom dodajemy, że kolektywizację poprzedziło stworzenie rządu robotniczo-chłopskiego, konfiskata ziemi obszarnej i wywłaszczenie kapitałistów“.

Na ostatniej, 12 stronie, zwróciliśmy się do czytelników z gorącą prośbą o nadsyłanie korespondencji, aby pismo mogło być „dokładnym zwierciadłem dzisiejszego życia chłopskiego“.

Numer 4 „Niwy“ poszedł w świat bez przeszkód w nakładzie siedmiotysięcznym.

Sukcesy „Niwy“ były wyraźne i zarządca drukarni, przyjaciel mój, zecer Piotr Kurpisz z Zaborowa koło Leszna zdecydował, że on dłużej nie znieśie, aby tak poważne pismo miało dalej ukazywać się w takiej mizernej szacie.

— To byle szmata burżujska zajmuje cały stół, a „Niwa“, co, ma być gorsza?

Od 5 zatem numeru „Niwa“ zaczęła się ukazywać w nowym, znacznie zwiększonym formacie, który zachowała już do końca swego istnienia. Rozmiar stronicy miał teraz 44,5×31,5 cm, miejsce na tytuł miało 15 cm wysokości, strona dzieliła się na 3 szpalty, których układ wiersza zajmował 9 cm. Różne strony były również łamane raz na 3, kiedy indziej

na 4 szpalty. Nowa szata wewnętrzna „Niwy“ imponowała przede wszystkim nam samym, ale również została przyjęta życzliwie i z uznaniem przez czytelników, którzy w wielu listach pisanych do redakcji dali temu wyraz. Ogółem ukazało się 16 numerów „Niwy“ — ostatni z datą 1 — 15 grudnia 1934 r., z tego 6 albo 7 numerów było skonfiskowanych i wychodziły ponownie z białymi plamami.

ROZPRAWY SĄDOWE „NIWY“ — WYROKI

Pierwszy raz w życiu przed kratkami sądowymi stanąłem dnia 26 października 1934 r. w związku z konfiskatą 3 numeru „Niwy“ z dnia 1 maja. Zgodnie z prawem pruskim, obowiązującym w Poznańskim, właściwym sądem dla spraw o przestępstwa prasowe był sąd pierwszej instancji. Jeżeli sąd grodzki wydał wyrok uniewinniający, sprawa kończyła się, gdyż zgodnie z ówczesną procedurą w sprawach prasowych był to wyrok ostateczny. Jeżeli zaś sąd pierwszej instancji skazywał redaktora odpowiedzialnego, bądź autora inkryminowanego artykułu, a najczęściej skazywał obojdwóch, wtedy skazanym przysługiwało prawo odwoływania się do wyższych instancji, aż do Sądu Najwyższego włącznie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności odnalazłem oryginał tej pierwszej mojej rozprawy sądowej, której tytuł był następujący: „Akta w sprawie karnej — Tomczak o przestępstwo prasowe — Sąd Grodzki w Lesznie, Wydział V, Litera Kg, Nr 574, Rok 1934“.

Rozprawę prowadził kierownik Sądu Grodzkiego sędzia Roman Sommer, protokołował aplikant sądowy St. Dobrzycki, oskarżał st. posterunkowy policji państwowej Wawrzyniak. Niestety, nie mam skonfiskowanego numeru „Niwy“ — przechowywany komplet wszystkich numerów „Niwy“, i skonfiskowanych także, przepadł mi w czasie okupacji. Łatwo jednak domyślić się z treści artykułu zarzucanej mi zbrodni „publicznego rozpowszechniania fałszywych wiadomości, mogących wywołać niepokój publiczny“, za co groziła kara aresztu do lat 2 i grzywny (art. 170 K.K.).

Pan Doliński nie wysiłał się zbytnio i zakwestionował dwa zdania z artykułu pt. *Pierwszy Maja 1934 r.*, a mianowicie: (część myśli nie skonfiskowana) „W bieżącym roku wysuwają masy pracujące jako najważniejszą sprawę walkę z groźbą nowej wojny światowej. Dlaczego? Dlatego, że ... (tu skonfiskowano słowa): „*kula ziemską jest już w różnych punktach ogarnięta pożogą wojenną*“, a następnie: „*ofiarami wojny są przede wszystkim robotnicy i chłopci*“. Podkreślone zdania nie są wprawdzie przepisane dosłownie, ale odpowiadają treści, jaka była

umieszczona w „Niwie“. Szef bezpieczeństwa i porządku publicznego uznał je za fałszowanie prawdy.

Równie dobrze mógł wytoczyć proces Konopnickiej za jej wspaniałą wiersz pt. *A jak poszedł Stach na wojnę*.

Spokojnie zatem stałem przed sędzią Sommerem i kiedy zapytał mnie, czy przyznaję się do winy, odpowiedziałem (cytat z protokołu rozprawy głównej):

„Oskarżony zapytany przez przewodniczącego — sędziego, czy przyznaje się do zarzuczonego mu czynu i jakie wyjaśnienia chce złożyć sądowi, podaje: Byłem w czasie krytycznym wydawcą i redaktorem »Niwy«. Jestem autorem inkryminowanego artykułu. Janina Smolińska [podpisana pod artykułem — przypisek mój] jest pseudonimem i osoba taka w rzeczywistości nie istnieje. Nie przyznaję się jednak do popełnienia przestępstwa z art. 170 K.K. Artykuł ten [naturalnie artykuł »Niwy“ — przypisek mój] bowiem nie zawiera żadnych fałszywych wiadomości“.

Sędzia po odczytaniu zaczepionego artykułu pyta oskarżyciela o zdanie. Policjant staje na baczność i głuchy na wszelki głos rozsądku i uczciwości oświadcza basem: „Popieram oskarżenie“.

Ani słowa więcej, popiera i spokojnie siada, władczo spoglądając w moją stronę. Sąd ogłasza postanowienie (wg protokołu): „Sąd Grodzki na posiedzeniu jawnym po rozpoznaniu sprawy Jana Tomczaka, urodzonego dnia 7 maja 1908 r. w Pniewie, gmina Plecka Dąbrowa, pow. Kutno, syna Andrzeja i Anastazji z domu Urbańskiej, nieznanego, rel. rzym.-kat., dziennikarza, zam. w Lesznie, Rynek 15 m. 3, niekaranego, oskarżonego z art. 170 K.K. o to, że z końcem kwietnia 1934 r. w Lesznie jako wydawca i redaktor odpowiedzialny dwutygodnika »Niwa« przez napisanie i umieszczenie w numerze 3 tegoż czasopisma artykułu pt. *1 Maja 1934 r.* publicznie rozpowszechniał fałszywe, mogące wywołać niepokój publiczny wiadomości, i uznając winę oskarżonego za udowodnioną, orzekł: oskarżonego Jana Tomczaka uznaje się winnym występku z art. 170 K.K. łącznie z § 20 niemieckiej ustawy prasowej z dnia 7 maja 1874 r., który oskarżony popełnił przez to, że w końcu kwietnia 1934 r. w Lesznie będąc wydawcą i odpowiedzialnym redaktorem dwutygodnika »Niwa« przez napisanie i umieszczenie w numerze 3 tegoż czasopisma z dnia 1 maja 1934 r. w artykule pod tytułem *1 Maja 1934 r.* ustępów od słów »Kula ziemską« od słów »pożoga wojenna« i od słów »ofiarami wojny« do słów »robotnicy i chłopci« publicznie rozpowszechniał fałszywe wiadomości, mogące wywołać niepokój publiczny i dlatego skazuje się oskarżonego na karę aresztu przez 1 (jeden) tydzień i grzywny w kwocie 5 zł. Wykonanie orzeczonej kary aresztu zawiesza się względem oskarżonego warunkowo na przeciąg

2 lat. Koszty postępowania ponosi oskarżony, od zwrotu opłaty zwalnia się oskarżonego, gdyż uiszczenie byłoby dlań uciążliwe“.

Uf! Styl okropny, ale wyrok raczej symboliczny. Współczułem sędziemu, który aby utrzymać się na stanowisku, wbrew już nie tylko jakiegokolwiek sprawiedliwości, ale przeciw wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi uznał za fałszywe prawdy oczywiste, które ślepy nawet widział, a głuchy słyszał.

Policjant stuknął obcasami, ja spokojnie ukloniłem się sędziemu. Sprawa skończona. Takich spraw i takich wyroków było jeszcze 5 czy 6.

Pan Doliński, rozwścieczony moją praktycznie biorąc bezkarnością, postanowił wreszcie pokazać mi swoją siłę.

W jednym z numerów „Niwy“, którego, niestety, nie posiadam, był artykuł mówiący o nędzy wsi węgierskiej. Pan Doliński skonfiskował numer „Niwy“ i oskarżył mnie, że pisząc niby o Węgrzech mówię o stosunkach polskich i w ten zakamuflowany sposób rozsiewam fałszywe wiadomości mogące itd.

Przyszedłem do sądu zupełnie spokojny, bo już się do tych spacerów przyzwyczailem. Nim jednak doszło do mojej sprawy, wysłuchałem kilka innych spraw, akurat z terenu wsi. Biedni chłopcy procesowali się o pierzyny, o kury, o nie płacone ojcom alimenty, byli oskarżani o garść podebranych sąsiadowi kartofli itp. Sprawy niby błahe, ale mówiące prawdę o nędzy wsi, i to nie byle jakiej, ale poznańskiej wsi, bogatej i kulturalnej — jak to sobie w całej reszcie Polski nie bez pewnej słuszności wyobrażano. Chłopcy dostawali wyroki, mniejsze, to większe. Siadali na ławach dla publiczności i ciekawie czekali na wyroki sąsiadów, którzy luzowali ich przed kratkami sądowymi.

Wreszcie woźny ogłosił: sprawa z oskarżenia publicznego przeciwko Janowi Tomczakowi, redaktorowi z Leszna. Ja posunąłem się do ławy oskarżonych. Chłopcy, którzy już szykowali się do wyjścia wyciągnęli szyje. Nareszcie coś nowego. Swoje sprawy znali, ciekawi byli, co to zbroił ten łachmyta miejski.

Przy stole sędziowskim też zrobił się ruch. Policjant-oskarżyciel schował swój notes do kieszeni, trzasnął obcasami i odszedł na ławę dla publiczności. Siadł i z ulgą rozpuścił haftki sztywnego kołnierza.

Woźny krzyknął srogo: wstać! sąd idzie! Spojrzałem zdumiony. Szło trzech sędziów, a za nimi młody, przystojny pan w todze — prokurator. Na moment załopotало mi w piersiach przestraszone serce. Opanowałem się szybko. Niechaj będzie. Jak parada, to parada, ale ja darmo swojej skóry nie oddam.

Rozpoczęły się zwykle ceremonie protokolarne, imię, nazwisko, wiek itd. Odpowiadałem spokojnie. Wreszcie sędzia zaczął czytać akt oskarżenia. Słuchałem w skupieniu.

— Czy oskarżony przyznaje się do winy i czy chce złożyć sądowi wyjaśnienia?

— Do winy się nie przyznaję, ale pragnę złożyć wyjaśnienie. I zacząłem wygłaszać przemówienie, z którego mógłby być dumny sam pan Migdalewicz.

Zacząłem od tego, że skoro jest napisane „wieś węgierska“, to w jaki sposób Wysoki Sąd czyta „wieś polska“? Artykuł naprawdę mówi tylko o wsi węgierskiej. Kiedy otrzymałem zawiadomienie o konfiskacie, gdzie władze policyjne zarzucają mi, jakobym szkalaował bogobożne, uroczne nasze wioski, byłem zdumiony. Dziś jednak, gdy miałem okazję przysłuchać się kilku rozprawom przeciw chłopom polskim, tu w polskim sądzie w Lesznie, wcale się już nie dziwię oskarżeniu policyjnemu. Obraz wsi węgierskiej, tak strasznymi kolorami odmalowany w „Niwie“, jest jeszcze dość blady w stosunku do tego jaskrawego obrazu nędzy wsi polskiej, jaki odmalowany został bez osłonek tu, w czasie tych rozpraw, których przypadkowym byłem świadkiem. Jednak trudno mi pogodzić się z oskarżeniem, że za ten zbieżny w ocenie stan wsi węgierskiej i polskiej ja mam ponosić odpowiedzialność. Oświadczam, Wysoki Sądzie, że wydaję „Niwę“ właśnie w tym celu, aby jak najprędzej zniknęła nędza z wsi polskiej, aby nikomu nie przyszło do głowy stawiać znaku równania między nędną wsią istniejącą gdzieś w świecie a wsią polską.

A na marginesie tej sprawy pragnę tu przytoczyć rozmowę, jaką miałem niedawno z przygodnym towarzyszem podróży. Czytał on „Gazetę Polską“, jak najbardziej chyba praworządną gazetę. Naraz przy-mrużył oko i powiedział do mnie: panie, Litwa już nasza, Waldemarasz kaput.

— Wyczytał to pan w „Gazecie Polskiej“?!

— Tak, i pokazał mi notatkę informującą, że marszałek Piłsudski wyjechał na gry wojenne do Wilna.

— Gdzie tu jest mowa o Litwie i Waldemarasie? — spytałem pocziwca. A on mi na to z chytrą miną: — panie, gazety trzeba umieć czytać!

Jak nasza policja też tak umie czytać gazety, to nie dziwię się, że zamiast „Węgry“ czyta „Polska“, a o to trzeba raczej mieć pretensję do policji, a nie do mnie.

Skończyłem przemówienie, prokurator pochylił się do sędziów i coś tam szeptał. — Sąd zarządza przerwę — ogłosił przewodniczący. Proszę wstać! — krzyknął gromko woźny.

Po paru minutach znów gromki okrzyk woźnego: sąd idzie, proszę wstać! Sędzia wśród panującej ciszy złożył następujące oświadczenie: Oskarżyciel publiczny zrzekł się oskarżenia (prokurator nie wrócił już

na sałę). Sąd umarza sprawę, znosi konfiskatę i nakazuje zwrócić oskarżonemu zajęte egzemplarze „Niwy“.

Do drukarni szedłem dumny jak paw, a za mną gromada chłopów z sądu, którym musiałem wręczyć na pamiątkę naszego spotkania w sądzie egzemplarze „Niwy“.

Pan Doliński na wiadomość o sądowej kompromitacji nie wytrzymał nerwowo i zadzwonił do mnie, dając upust swojej bezsilnej wściekłości.

— Jeszcze tym razem pan się wykrecił. Zręczny z pana ptaszek, ale ja pana dosięgnę. Pożałuje pan swego zuchwalstwa!

I rzeczywiście! — jak mówiła jedna moja znajoma dziewczynka — maluczko, a byłbym mógł żałować, jednak szczęście dopisywało mi do końca, bo i ostatni numer p. Dolińskiego nie wyszedł według jego intencji. Ale to już inna sprawa. Tymczasem nie zwracając uwagi na jego zdenerwowanie, spokojnie poprosiłem go, aby odesłał mi skonfiskowane egzemplarze pisma.

Wracając do konfiskat, jeszcze jedno wspomnienie. W listopadzie otrzymałem wezwanie z Sądu Grodzkiego w Opatowie, abym stawił się na rozprawę dnia 21 grudnia, gdyż jestem oskarżony z art. 156 i 170 K.K. w oparciu o art. 10, 360—370 i 581 K.K.

Okazało się, że pan starosta opatowski potraktował „Niwę“ jako pismo obcego (zagranicznego) terenu i uważał za właściwe zarządzić konfiskatę, nie udzielając „Niwie“ debitu na swoim terenie urzędowania. Przewertowałem ustawę i napisałem do sądu odwołanie. Odrzucając stawiane mi zarzuty, oskarżyłem z kolei starostę o bezprawie. Poprosiłem o rozpatrzenie sprawy w mojej nieobecności. Już w styczniu 1935 r. otrzymałem paczkę 14 egzemplarzy 4-go numeru „Niwy“, skonfiskowanej przez starostę. Przyzwoity sędzia grodzki załączył do tej paczki odpis wyroku zaocznego, który brzmiał następująco:

„Mieszkańca m. Leszna Jana Tomczaka, lat 27, s. Andrzeja, spod zarzutu, iż jako redaktor odpowiedzialny dwutygodnika »Niwa«, wychodzącego w Lesznie, w tymże dwutygodniku z dnia 15 maja 1934 r., nr 4, w artykule pod nazwą *Bezrobocie na wsi* i *Co piszą inni* nawoływał do nieposłuszeństwa władzy oraz w tychże artykułach rozpowszechniał fałszywe wiadomości, mogące wywołać niepokój publiczny — uniewinnić. Areszt nałożony na czasopismo »Niwę« — uchylić.

Dowód rzeczowy: 14 dwutygodników »Niwa« zwrócić Janowi Tomczakowi. Wyrok nie ostateczny. Termin i tryb zaskarżenia wyroku ogłoszony“.

Dla starosty opatowskiego był to jednak wyrok ostateczny i pouczający, gdyż nigdy więcej zajęcia „Niwy“ nie robił, za to prześladował u siebie na miejscu kolporterów „Niwy“, o czym pisali oni do redakcji.

LIKWIDACJA „NIWY“

„Niwa“ była przeznaczona dla wsi i znalazła tam wiele uznania, bo też jej szpalty były wypełnione przeważnie artykułami omawiającymi kłopoty, troski i nadzieje pracującego chłopstwa. Mam przed sobą ledwie 8 numerów „Niwy“, w których na blisko 100 artykułów 54 omawia aktualne zagadnienia wsi, 21 poświęconych zagadnieniom politycznym również uwzględnia sprawy pracującego chłopstwa, 13 artykułów z ZSRR — to również przewaga tematyki wiejskiej. Konfiskaty, jakie od nr 3 spadły na „Niwę“, podnosiły jej autorytet w oczach czytelników, toteż nakład stale się zwiększał.

Kolportaż „Niwy“ zorganizowany był przez partię. Komitety gminne, dzielnicowe, powiatowe poprzez sympatyków i członków partii mieszkających na wsi rozprawdzały „Niwę“ wśród pracującego chłopstwa, zbierały pieniądze na prenumeratę i przesyłały je do Leszna, z początku bezpośrednio na mój adres, później na konto PKO. Większość wpływów szła przez komitety partyjne do kasy partyjnej, skąd odpowiednie sumy na pokrycie kosztów „Niwy“ były oddawane do moich rąk przez tow. Mariana, bądź też przesyłane pocztą.

W tym miejscu chciałbym parę słów poświęcić „moskiewskim srebrnikom“, o których stale bajdurzyła prasa rządowa i endecko-klerykalna, a co chętnie powtarzali wszyscy wrogowie KPP.

Do partii należałem od 1931 r. aż do rozwiązania, tj. do 1938 r. W tym okresie partia „płaciła“ mi tylko w czasie mojej pracy w „Niwie“. Nie miałem zresztą ustalonej żadnej pensji, po prostu wydawałem na swoje potrzeby tyle, ile wydać musiałem. Jako „redaktor“ wydawałem na swoje potrzeby w Lesznie sporo, bo od 75 do 100 zł miesięcznie.

Opisywałem uprzednio pobyt w Poznaniu i moje eskapady po poznańskich lokalach. W Lesznie również od czasu do czasu chodziłem do cukierni czy restauracji. Nie mogłem postępować inaczej, jeżeli chciałem z powodzeniem odstawiać dziennikarza i wydawcę, człowieka interesu. Bywało jednak, że nieraz głodowałem pozostając po kilka, a nawet kilkanaście dni bez grosza w kieszeni, gdy się coś w łączności popsuło. Ten stan rzeczy znany był władzom policyjnym, stąd też zwolnienie mnie od zwrotu kosztów postępowania sądowego, gdyż jak stwierdził sędzia, uiszczenie byłoby dla oskarżonego zbyt uciążliwe.

Nie wiem, ile zarabiali dziennikarze w gazetach partyjnych PPS czy Stronnictwa Ludowego, ale wątpię, aby ktokolwiek z nich chciał pracować za 75 czy nawet 100 zł miesięcznie i spełniać różnorodne funkcje, jak ja spełniałem je w „Niwie“. Poza tym okresem zawodowej funkcji w partii nigdy ani mnie, ani żadnemu z towarzyszy, których znałem, a którzy nie pełnili zawodowo funkcji partyjnych, nikt nic nie

płacił. Zresztą nikomu nie przyszłoby do głowy liczyć na zapłatę za pracę partyjną. Natomiast wszyscy członkowie partii czuli się w obowiązku wspierać potrzeby partii chociażby ostatnim groszem. Tak np. wszystkie ulotki, transparenty, jakie robiliśmy w Żychlinie, były fundowane ze składek towarzyszy żychlińskich, którzy, jak wiadomo, w przeważnej części należeli do najbiedniejszych warstw społecznych. Nie byłem nigdy tak naiwny, abym mógł sądzić, że kadrowa partia, partia nielegalna, mogła prowadzić swoją wielką działalność bez pomocy klasy robotniczej całego świata. Niewątpliwie Międzynarodówka komunistyczna wspierała również finansowo potrzeby KPP, ale te pieniądze były braterską pomocą, a nie kupowaniem zwolenników. Partia nasza nie potrzebowała kupować ludzi, szli za nią robotnicy, chłopci, inteligenci, bo to była czołowa siła tego obozu, który walczył o utrzymanie pokoju, o niepodległość Polski, o pracę dla wszystkich, o ziemię bez wykupu dla chłopów. Popierali naszą partię ci wszyscy, którzy mieli okazję poznać jej cele i poznać jej ludzi. Dlatego też tak gorąco i z oddaniem pracowali bezpartyjni zecerzy Piotr i Franciszek, nigdy nie żądając żadnej dopłaty za czynności, które nie należały do ich zawodowych obowiązków.

Natomiast defensywa gorliwie „opłacała” komunistów śmiercią, latami katorgi, ciągłymi prześladowaniami, znęcaniem się nad tymi, którzy wpadli im w łapy. Przeczytajcie uważnie chociażby ten nekrolog, który zamieściła „Niwa” w nr. 9/10 na stronie 12:

Piotr Radzewicz

Dnia 5 lipca 1934 r. zmarł w więzieniu w Janowie więzień polityczny — Piotr Radzewicz ze wsi Plisków, pow. Chełm. Zmarły całe swoje młode życie poświęcił dla sprawy robotniczo-chłopskiej. Aresztowany w jesieni 1933 r. i osadzony w więzieniu w Janowie nie wytrzymał ciężkiego rygoru więziennego i zmarł w męczarniach. Wiadomość o jego śmierci przyszła w cztery dni po pogrzebie. Śmierć Radzewicza przejmują żalem serca robotników i chłopów — tym droższą uczyni sprawę, dla której zmarły się poświęcił.

Cześć Jego Pamięci!

A takich jak Radzewicz zadreńczonych w lochach więziennych było setki, chociaż partia chroniła ludzi i nie pozwalała na bezmyślne junactwo czy bohaterские popisy.

Dlatego nie mogę zgodzić się z tymi, którzy komunistyczną przeszłość istotnie wypraną ze sztampowej romantyki, a przecież romantyczną w najlepszym tego słowa znaczeniu, chcą skwitować zdartą płytą i przedpotopowym gramofonem*.

* W filmie *Popiół i diament*.

„Niwa“ pomimo ciągłych konfiskat przepychała się przez sieci nieudolnie zarzucane rączkami pana Dolińskiego, wzywała do walki z rządami sanacji i głośno mówiła o rządzie robotniczo-chłopskim. Bez pardonu demaskowała rzekomych przyjaciół pracującego chłopca. W lipcu 1934 roku straszna klęska powodzi w wyjątkowo potwornych rozmiarach nawiedziła nasz kraj. Artykuły o powodzi w „Niwie“ były skonfiskowane, bo nie tylko rejestrowały wypadki, ale dawały polityczne ich oświetlenie. W całym kraju powstały komitety pomocy powodzianom. Ofiarności była powszechna, bo z powodziانami dzielili się ostatnim groszem ci, którzy sami potrzebowali pomocy — robotnicy i biedni chłopci. Jak zwykle, Warszawa przodowała w tej akcji i na konto PKO — Nr 2200, do połowy września wpłynęło w gotówce złotych 978 593,20, „w tym od duchowieństwa zł 41,50. Dosłownie: złotych czterdzieści jeden i 50 groszy — na milion blisko złotych ofiar“. 41 zł 50 gr ofiarowali wszyscy: kardynałowie, biskupi, kanonicy, prałaci, księża, rabini popi i pastory.

„Chłopi dobrze zapamiętają tę »hojność« pasterzy w swym nieszczęściu“ — kończy „Niwa“ swój artykuł pt. *Co kler wszystkich wyznań dał na powodziان*.

Wiele swego miejsca „Niwa“ oddała dla omówienia prawdy o życiu ZSRR. W posiadanych numerach „Niwy“ naliczyłem 13 artykułów i większych notatek poświęconych Związkowi Radzieckiemu. Komuniści polscy nie cofali się przed głośną obroną ZSRR jako ojczyzny światowego proletariatu. Wiedzieliśmy, że broniąc Związek Radziecki przed szkalowaniem i obelgami rzucanymi przez jego wrogów, bronimy sprawę robotniczej, sprawę naszej wolności, sprawę socjalizmu.

„Niwa“ miała wyraźne oblicze. Nie mogła zatem cieszyć się tolerancją władz. Toteż wiedziałem, że p. Doliński wcześniej czy później dośięgnie mnie niezawodnie. Mógł to zrobić łatwo, ale chciał koniecznie załatwić sprawę w majestacie burżuazyjnego prawa.

6 grudnia jeszcze spałem, gdy naraz gwałtownie ktoś zawałił do drzwi.

— Otwierać, policja!

— Chwileczkę, trochę się ogarnę.

Serce zaczęło mi łomotać, zrobiłem więc kilka głębokich oddechów, aby się trochę uspokoić.

Otworzyłem drzwi. Policjant i 3 defensywiaków.

— Czym mogę służyć? — głos mój brzmiał spokojnie.

Inspektor defensywy Szatkowski wyciągnął z notesu urzędowe pismo i podał mi.

Zdążyłem przeczytać:

„Nakaz aresztowania... za przynależność do Komunistycznej Partii Polski...“

Nie dokończyłem — Szatkowski wyrwał mi tę kartkę i podał drugą:

„Nakaz przeprowadzenia rewizji osobistej oraz w domu redaktora i wydawcy »Niwy« Jana Tomczaka, a również w pomieszczeniach drukarni i redakcyjnych“.

— Proszę bardzo — oznajmiłem.

Rewizja poszła gładko. Załadowano 3 worki korespondencji od czytelników „Niwy“, moje osobiste notatki, książeczkę czekową, aparacik fotograficzny, album z fotografiami. Pomimo skrupulatnych poszukiwań ani śladu łączności z KPP. Mój duch podniósł się znacznie i popełniłem wtedy błąd, który mógł mnie drogo kosztować.

Po skończonej rewizji p. Szatkowski polecił mi zaprowadzić się do drukarni.

— Pan jeszcze nie wypełnił całkowicie swego zadania, panie inspektorze, ma być jeszcze rewizja osobista.

W tym momencie przypomniałem sobie, że w lewej kieszeni kamizelki mam dwa listy od towarzyszy z Warszawy. Ścisnęło mnie w dołku, ale już było za późno.

Inspektor z urzędową powagą zaczął wywracać moje kieszenie. Wreszcie namacał listy.

— A tam, co pan ma?

— Na sercu? Łatwo się pan domyśli, co tam trzyma młody człowiek.

Pan Szatkowski rozpostarł 1-szy list. Pismo kobiece. Początek listu: „Kochany mój Janku!“ Oddał mi listy z pobłażliwym uśmiechem.

— No idziemy.

— Czy pozwoli mi pan wstąpić do łazienki?

Policjant otworzył łazienkę, a ściśle mówiąc ubikację, i stwierdził, że nie ma z niej możliwości ucieczki. Wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Siły mnie zupełnie opuściły. Drżącymi rękami wyciągnąłem nieszczęsne listy, które przechowywałem, aby mniej zrozumiałe teksty omówić z towarzyszkami w Warszawie (listy były pisane zupełnie niewinnie, tylko ten, kto wiedział, o co chodzi, mógł je rozszyfrować; naturalnie dla defensywy było to łatwe do wykonania). Podarłem je na drobne kawałki, starannie obsusiałem i spuściłem wodę. Jeszcze 2—3 oddechy i prawie uspokojony wyszedłem do moich opiekunów.

Przed domem stało 3 policjantów mundurowych z karabinami w rękach. Parada była na sto dwa.

Kiedy przyszlizśmy do drukarni, też była otoczona policjantami. Tu rewizja trwała dość długo. Defensywiacy i mundurowi przetrząsali kąty, rozwijali zmięte i porzucone papiery, zabrali jeszcze kilkadziesiąt świeżo nadesłanych listów i wreszcie kazali podpisać protokół rewizji.

Inspektor Szatkowski nakazu aresztowania nie wyciągnął więcej. Miał go widocznie w pogotowiu na wypadek, gdyby znalazł jakieś dowody rzeczowe mojego członkostwa partyjnego.

Poszli... Po trzech dniach zostałem wezwany do komisariatu. Przyjeżdżał mnie w zwykłym urzędowym pokoju, gdzie przy stolikach siedziało pięciu urzędujących panów. Jeden z nich zaczął ze mną rozmawiać, co chwila wtrącał się któryś z obecnych, niby to zajętych swoją pracą urzędników. Rozmowa trwała ponad 5 godzin. Rozmawialiśmy ze sobą jak przygodnie spotkani w wagonie ludzie. O sytuacji międzynarodowej, o tym, co się komu z nas podoba w Polsce, a co nie, o literaturze, o sądownictwie, o wsi, o wodzie, o pogodzie. O powodach, dla których wybrałem właśnie Leszno dla swojej działalności. Dlaczego nie sprzedaję „Niwy“ w Lesznie? itd.

Odpowiadałem spokojnie, czasami złośliwie, czasami z humorem. Na zegarek nie patrzyłem, a czas płynął. Na dany znak urzędnicy zwinęli wreszcie teczki i opuścili biuro, zegnając się z szefem, który pozostał ze mną sam na sam.

— Panie Tomczak, przestańmy się wzajemnie bujać. Żal mi pana, jest pan jeszcze młody i po diabła panu to wszystko? Rzuć pan tę parszywą robotę, rzuć pan żydokomunę, a przede wszystkim porzuć pan Leszno. Ja tu pana dłużej nie będę tolerował. Już dzisiaj, gdybym chciał, mógłbym pana ubrać w takie buty, że nie wylazłby pan z nich przez całe lata. Taki pan niby chytry, a aparat fotograficzny dałeś sobie zabrać nie stwierdzając protokolarnie, że nie ma w nim żadnej taśmy. Co byś pan powiedział, gdybym z tego pańskiego niewinnego aparaciku wyciągnął zdjęcia szpiegowskie? Ha! A tu przecież granica blisko, szpiegów tu nie brak. No?!

— Rzeczywiście, byłbym w trudnej sytuacji, ale przecież jakoś bym tam udowodnił, że to nie moja robota.

— Oj, naiwniak, naiwniak. No, zwalniam pana! Przyślij pan po te swoje szpargały. A namyśl się pan nad tym, com panu powiedział. Bo jak drugi raz zaprosimy pana tutaj, to wtedy wyjścia już nie będzie. Żegnam!

W kilka dni później, uważając, czy nie jestem otoczony opieką przez jakiegoś „anioła-stróża“, wymknąłem się do Warszawy. Kazano mi zwinąć manatki. „Niwa“ zrobiła, co mogła.

Nadchodziły nowe dni. Zbliżał się rok wielkiego przełomu. W Polsce formował się jednolity front. Masy pepesowskie zacieśniały więzy z lewicą robotniczą. W KPP zaczęto widzieć różnicę między Próchnikiem a Zarembą czy Czapińskim. Wstrzymywano się od wzajemnych napaści.

* * *

*

Nie bardzo wtedy rozumiałem, dlaczego „Niwa“ musi kończyć swój żywot. Prawda, partia chroniła ludzi i nie chciała, abym szedł do więzienia, ale choć to był powód poważny, nie mógł jednak stanowić o decyzji partii w sprawie likwidacji „Niwy“. Ludzie są po to, aby walczyli, a w walce różnie bywa, czasami trzeba ginąć... Więc co?

„Niwa“ — dziś widzę to wyraźnie, gdy czytam jej pożółkłe karty — była mimo swych zalet pismem sekciarskim. Trudno było rozmawiać z PPS czy SL językiem „Niwy“, jeśli poważnie myślało się o jednolitym froncie. Dlatego też „Niwa“ musiała przestać wychodzić.